Rok 1. 1. maja. Nr. 6.

TEKA

czasopismo poświęcone sprawom młodzieży szkół średnich,
wydawane przez
młodzież akademicką.
Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Od niewoli Moskiewskiej, Austryackiej, Pruskiej, Wybaw nas Panie!
Adam Mickiewicz: »Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego«.

***Dr. Paweł Popiel.** W sprawie reformy szkół średnich. Kraków 1899. Cena 50 ct. na dochód „Jagiellonii.“ 8⁰ str. 1 — 56. (Osobne odbicie z „Przeglądu polskiego“.)*

To, co autor mówi o podręcznikach, jeszcze bardziej wskazuje na człowieka, który do Galicyi przyjechał wprost z... księżyca. U nas podręczniki rosną, jak grzyby po deszczu! U nas zarozumiałość i spekulacya nauczycieli szkół średnich prowadzą do pisania coraz to nowych książek szkolnych! Gdzieto, proszę? W których przedmiotach nauki? O ile wiem, tylko w nauce arytmetyki na klasy niższe istnieje konkurencya trzech podręczników, pozatem każda niemal książka szkolna ma monopol na całą Galicyę i istnieje z reguły conajmniej lat kilka, a jeżeli ustępuje miejsca innej, to nigdy dlatego, żeby jakiś nauczyciel »zgłaszał się u władzy« z nowym podręcznikiem, mającym wskazać nowe drogi tylko dlatego, że Rada szkolna uznała dawny podręcznik za zły i przestarzały, i z a r z ą d z i ł a napisanie nowego. Systemu ubiegania się o zatwierdzenie Rady szkolnej z gotowymi podręcznikami u nas wcale niema: u nas Rada szkolna mianuje poprostu autorów, polecając temu napisanie tej, owemu innej książki i przedłożenie jej w rękopisie do zatwierdzenia; kto zaś takiego mianowania nie otrzymał, temu ani w głowie brać się do pisania podręcznika. Spekulacyi nauczycielskiej niema powtóre i z tego powodu, że od kilku lat pisanie prawie wszystkich ważniejszych podręczników powierza się u nas profesorom uniwersytetów; a wreszcie niema jej i dlatego, że w ostatnich latach istnieje u nas co do podręczników system spółek autorskich, wykluczających — przynajmniej między obydwoma spólnikami — potępianą przez pana Popiela

konkurencyę. Jeżeli więc czasem nasza młodzież szkolna istotnie dotkliwie odczuwa zmiany podręczników, to winni temu nie ambitni, czy chciwi nauczyciele szkół średnich, ale winna temu chyba Rada szkolna, która w każdem nowem wydaniu tego samego podręcznika poleca przeprowadzać bardzo wielkie, a w oczach niewtajemniczonego czytelnika niczem nie usprawiedliwione zmiany czyniące użycie starego wydania niemożliwem.

Ale to wszystko szczegóły, usuwające się właściwie na plan drugi wobec właściwej kwestyi reformy szkół średnich. Żądanie reformy pojął autor całkiem jednostronnie co do jego motywów, a całkiem fałszywie co do jego treści. Motywem tego żądania ma być, wedle autora, chęć zapewnienia naukom przyrodniczym większego niż dotąd w szkołach średnich miejsca. Nie przeczymy, że u niektórych zwolenników reformy ten wzgląd odgrywa pewną rolę; ale nie jest on ani jedynym, ani najważniejszym, a większa część przeciwników dzisiejszego systemu wcale o rozszerzeniu gimnazyalnej nauki zoologii, botaniki, czy mineralogii nie myśli. Walka przeciwko językowi greckiemu jest przedewszystkiem walką przeciw przedmiotowi zdaniem walczących zbytecznemu, a dla młodzieży niezaprzeczenie bardzo ciężkiemu, walką o usunięcie rzeczy niepotrzebnej, a nie, o wprowadzenie rzeczy nowej. Ten czysto negatywny motyw, aby młodzieży naszej — mniejsza o to, czy przeciążonej, czy nie przeciążonej — nie obarczono niczem niepotrzebnem, jest pierwszym argumentem zwolenników reformy, argumentem — oczywiście *positis ponendis*, t. j., że język grecki istotnie nie jest potrzebnym — zupełnie słusznym. Właściwego znaczenia jednakże nabiera ten motyw dopiero w połączeniu z motywem drugim którym jest: przeciążenie młodzieży szkolnej. Przeciążenie to — jeżeli istnieje — jest argumentem bardzo ważnym, nie zasługującym na to, by go, jak p. Popiel, chować na koniec broszury i zbywać kilku słowami. Że zaś ono istnieje, to przyznaje sam autor, zwalniając nas przez to od dowodu; ale nie zawadzi wykazać kilku słowami, że ono specyalnie u nas jest większem, niż gdziekolwiek i to właśnie w dziedzinie nauki języków. My stoimy o jeden »światowy język« w tyle za Niemcami, Francuzami i Anglikami; musimy, aby módz się porozumieć z cywilizowaną Europą, oprócz naszego języka wykładowego uczyć się jeszcze przynajmniej niemieckiego, a jeżeli któryś z nas potrzebuje jeszcze umieć drugi język światowy, to musi uczyć się równocześnie 2 języków nowożytnych, aby osiągnąć to, co n. p. Niemiec ma przy nauce jednego języka. A dodajmy do tego jeszcze, że młodzież

ruska, wskutek panujących w kraju stosunków etnograficznych, musi się uczyć i języka polskiego i ruskiego, bo drugi jest jej językiem ojczystym, a bez pierwszego nie dałaby sobie i — możemy to ze spokojną pewnością powiedzieć — nigdy, w żadnych stosunkach politycznych nie da sobie, nawet we wschodniej Galicyi, rady. Więc też ograniczenie nauki języków jest dla nas żywotniejszą, niż dla kogokolwiek kwestyą.

W związku z tem zostaje trzeci motyw zwolenników reformy: chęć wprowadzenia do szkoły średniej drugiego języka nowożytnego, francuskiego lub angielskiego. Pan dr. Popiel zbywa tę myśl pogardliwie wyrażeniem obawy, że wykład tych języków będzie niedostatecznym i że ograniczy się gramatyką i próbami stylu, przy fatalnem wymawianiu. To prawda, ale czy nie lepszy wykład niedostateczny aniżeli żaden? Czy wykład języka greckiego jest dostateczny? Który z tych dwóch wykładów prędzej czy łatwiej da uczniowi możność czytania arcydzieł w oryginale? Czyż literatura grecka i n. p. angielska nie są sobie równe pod względem bogactwa i idealnego polotu swych arcydzieł? Czy do poznania literatury naukowej w jakimkolwiek dziale, w filozofii, historyi czy naukach przyrodniczych i lekarskich język francuski i angielski nie są potrzebniejsze od języków klasycznych? Nie należymy z pewnością do zwolenników wyśmianego dawno paplania po francusku, czy po angielsku, ale powiedzieć musimy, że nieznajomość obcych języków jest u galicyan wsprost zawstydzającą i że, gdyby o nas chodziło, to dawna przysłowiowa wielojęzyczność Polaków byłaby wprost legendą. Nasza naukowa zależność od Niemców, i tak już wskutek stosunków politycznych i wskutek świetnego rozwoju nauki niemieckiej dość wielka, staje się przez to jeszcze daleko większą: uprawiamy tylko te działy, nauki, które uprawiają Niemcy, znamy tylko te naukowe dzieła francuskie, które się Niemcom podoba przetłómaczyć; myślimy i piszemy na modłę niemiecką, bośmy pozbawieni przeciwwagi charakteru francuskiego i angielskiego; kiedy któryś z nas ma coś do napisania dla Europy, to pisze po niemiecku, bo innym językiem by nie potrafił; a kiedy przyjedzie do naszego kraju cudzoziemiec, którego naród, tak jak nasz, cierpi od niemieckiego ucisku, to on do nas i my do niego mówimy — po niemiecku.

Czwartym motywem zwolenników reformy są widoczne dla każdego z blizka patrzącego szkody, jakie pociąga za sobą rozdział szkoły średniej na gimnazyum i szkołę realną. Ten fakt, że te dwie kategorye zakładów naukowych, w założeniu swojem

pomyślane jako równorzędne, zatrudniające swych uczniów przez mniejwięcej równą ilość godzin i prawie równą ilość lat, w rezultacie zapewniają swym wychowańcom całkiem nierówne korzyści; ten fakt, że gimnazyalista ma otwarte przed sobą wszystkie wydziały uniwersytetu, a przy pomocy dwumiesięcznej dodatkowej nauki po maturze także całą politechniką, podczas gdy dla ucznia szkoły realnej nietylko uniwersytet, ale niedawno nawet szkoła rolnicza była zamkniętą: ten fakt woła po prostu o pomstę do nieba. Wybór zawodu w 10 roku życia, dokonywany częstokroć przez ojca, mającego wstęt do łaciny i greki i zamykający przez to synowi prawie raz na zawsze drogę do całego szeregu zawodów, jest pedagogicznym i społecznym absurdem. Nieustanne wreszcie zasilanie szkoły realnej gimnazyalistami, którzy dostawszy w gimnazyum drugą klasę (i to nie z łaciny lub greki, ale z któregokolwiek innego, obu zakładom wspólnego przedmiotu) przenoszą się do 7-klasowej szkoły realnej, aby roku życia nie tracić, obniżać musi niesłychanie poziom nauki w szkołach realnych i z krzywdą dla społeczeństwa, a zarazem z ujmą dla techników z zamiłowania, obciążać szkołę realną i politechnikę balastem niedoszłych prawników i medyków.

Temu brakowi zaradzić może tylko jednolita szkoła średnia, albo też szkoła ze stosowną bifurkacyą; a ponieważ wprowadzenie do dzisiejszych gimnazyów obowiązkowej nauki rysunków i geometryi wykreślnej w tych rozmiarach, w jakich one są wymagane w szkole realnej, byłoby niemożliwe bez dalszego jeszcze przeciążenia młodzieży, przeto ograniczenie filologii klasycznej jest tą konieczną ofiarą, jakiej żądamy od zwolenników filologii właśnie w tym celu, aby korzystanie z pozostałej r e s z t y filologii i z tych zawodów, do których ona drogę otwiera. umożliwić w s z y s t k i m uczniom szkół średnich.

Dlategoteż zupełnie błędnem i całkowitej nieznajomości rzeczy dowodzącem nazwać musimy proroctwo pana Popiela, jakoby żądanie reformy szkół doprowadzić miało do specyalizacyi szkoły średniej, do utworzenia osobnych gimnazyów dla techników, dla inżynierów kolejowych, dla chemików rolniczych i t. p. Pomijamy już arcynaiwny tok rozumowania, na podstawie którego autor do tego doszedł. Tok ten da się streścić w tem, że ponieważ nauki przyrodnicze mają szczególną tendencyę do specyalizacyi, przeto większe uwzględnienie tych nauk w programie szkolnym musi doprowadzić do specyalizacyi gimnazyów. Jakgdyby jedno z drugiem zostawało w jakimkolwiek związku! Wszak im więcej godzin

szkolnych poświęcimy naukom przyrodniczym, tem większe kwantum tych nauk może być uczniom wyłożonem. Ale to kwantum nie musi być brane z pewnych nauk przyrodniczych specyalnie, lecz może być wziętem równomiernie ze wszystkich, zupełnie taksamo jak wówczas, gdy to kwantum było mniejszem. Owszem im ono będzie większe, tem większa będzie możność równomiernego uwzględnienia najróżnorodniejszych nauk przyrodniczych, które przy bardzo małej liczbie godzin przy najlepszych chęciach mogło być niemożliwe, a które obecnie, w tej przez p. Popiela przewidywanej reformie, dałoby się poprostu przeprowadzić przez poświęcenie uzyskanej nadwyżki godzin gałęziom przyrodoznawstwa dotąd wcale nie uwzględnionym. Idac tokiem myśli p. Popiela, należałoby twierdzić, że n. p. w razie zamiany czterolecia studyów uniwersyteckich, wymaganego od kandydatów nauczycielskich, na pięcio lub sześciolecie, niebezpieczeństwo specyalizacyi wiedzy kandydata, który sobie obrał grupę nauk przyrodniczych, będzie większe, niż jest dzisiaj i że zamiast kandydatów, uzdolnionych jak dzisiaj do uczenia w gimnazyach t r z e c h gałęzi naturalnej historyi gotowiśmy otrzymywać takich, którzy tylko d w ó c h uczyć potrafią, bo oni się dłużej i więcej nauk przyrodniczych uczyli, więc się więcej wyspecyalizowali. Każdy rozsądny człowiek dojdzie radzej do odwrotnego wniosku! — A zresztą, czyż specyalizacya jest szczególną właściwością nauk przyrodniczych? Czyż niema filologów, siedzących całe życie nad jednym autorem, pracowników — nad jednym działem systemu, historyków — nad jednem stuleciem, lub panowaniem jednego króla? Jedna tylko filozofia, królowa nauk i ostatnie ich słowo, powinna z pojęcia swego stać ponad specyalizacyą i w jedno ognisko zestrzelać promienie, wychodzące z wszystkich umiejętności, a czy i ona także nie ulega stopniowej specyalizacyi wskutek olbrzymiego rozwoju psychologii w ostatnich czasach, o tam fachowi tylko mogliby ostatnie wypowiedzieć zdanie.

Ale mniejsza o to. Ważniejszą jest zupełna niewiadomość pana dra Popiela o tem, że własnie zwolennicy reformy, przez niego zwalczanej, wypisali na swojem sztandarze j e d n o l i t ą szkołę średnią. Oni, którym autor zarzuca dążenie do specyalizacyi, dążą właśnie do gimnazyum uniwersalnego, gimnazyum dającego ogólne wykształcenie wszystkim zawodom, słowem spełniającego najwznioślejsze zadanie szkoły średniej tak, jak je p. dr. Popiel określił. Jeżeli co, to chyba dzisiejszy stan rzeczy, w którym obok gimnazyum uniwersalnego istnieje — mówmy słowami

dr. Popiela — »gimnazyum specyalne dla techników« tj. szkoła realna, da się porównać z malowaną przez autora przyszłością Doprawdy, zabawniejszego nieporozumumienia niepodobna sobie chyba wyobrazić!

Wykazawszy powyżej, jak jednostronnie i niedokładnie przedstawia sobie autor motywa zwolenników reformy, przekonamy się obecnie, że treść ich postulatów pojął autor wręcz fałszywie i tendencyjnie. Zdaniem autora, zwolennikom reformy rozchodzi się o usunięcie z gimnazyów języka greckiego, a radykalniejszym także o usunięcie języka łacińskiego. Kto i gdzie domagał się u nas na seryo usunięcia z gimnazyów języka łacińskiego? Nikt, nie wyjmując nawet najskrajniejszych pomiędzy tymi, którzy w sprawie reformy szkół średnich publicznie głos zabierali. Nikomu ani się nie śniło zaprzeczać koniecznej potrzeby łaciny dla teologów, prawników, medyków, lingwistów nowożytnych, historyków!

Cała przeto apologia łaciny, przez autora na dwudziestu niemal stronach przeprowadzona, a zaledwie tu ówdzie przeplatana drobnymi argumentami na korzyść greczyzny, jest walką z wiatrakami, tryumfowaniem nad urojonym przeciwnikiem. Gdyby autor choć na chwilą zdał był sobie sprawę z tego, że usunięcia łaciny nikt absolutnie u nas nie żąda, byłby prawdopodobnie nie uszczęśliwił świata swoją broszurą; bo to, co z niej byłoby pozostało po odpadnięciu argumentów na korzyść języka łacińskiego, byłoby jemu samemu wydało się za małem i zanadto w treść ubogiem. Dlatego też i my, w konsekwencyi tego, cośmy dopiero powiedzieli, mielibyśmy prawo wyrzec się polemiki z tym całym arsenałem argumentów, które autor nagromadził; dla obrony łaciny i moglibyśmy pozwolić cieniom «Kadłubka i Długosza« spać spokojnie w tem przekonaniu, że, jeżeli nie zbudziła ich broszura pana dra Popiela, to żaden ze zwolenników reformy szkół średnich nie targnie się na ich wieczny odpoczynek. Ale nie możemy się wstrzymać od podniesienia tego, że p. Popiel nawet rzeczy słusznej i przez nikogo niezaczepianej, potrafi bronić argumentami błędnymi, naciąganymi lub śmiesznymi. Skąd wziął p. Popiel n. p. twierdzenie o »mnożącej się u nas coraz bardziej liczbie urzędników, nie będących prawnikami«? Chyba z Desmolinsa; chyba ze stosunków francuskich, w których istotnie od urzędnika, przynajmniej adninistracyjnego, nie wymaga się żadnych ustawowych kwalifikacyi. Dla naszych stosunków twierdzenie to jest poprostu wyssanem z palca: w żadnej gałęzi służby

państwowej niema dzisiaj, stosunkowo przynajmniej, większej liczby nieprawników, niż dawniej. Wyjątek stanowią chyba mnożący się fachowi urzędnicy techniczni, których wymaga konieczna potrzeba społeczeństwa, — bo przecież prawnicy dróg i mostów budować nie potrafią, — no, i urzędnicy manipulacyjni, których n. p. ostatnia reforma sądownictwa znacznie przysporzyła. Ale ani pierwszym z nich nie potrafi autor udowodnić zarzutu, jakoby biuro i związana z niem hierarchia w wyższym niż dla prawników stopniu stanowiła dla nich świat, poza którym nic nie widzą, ani też o drugich, o tych najniższych i najcichszych pionkach hierarchii urzędniczej, nie zechce twierdzić na seryo, jakoby dążyli do opanowania społeczeństwa. Wyżsi urzędnicy państwowi prawie wyłącznie są prawnikami, a adwokata nieprawnika ze świecą p. Popiel w Austryi nie znajdzie, tak iż cała jego wzmianka o tej klasie adwokatów nieprawników musi być uznana za wypływ napół może nieświadomej chęci pochwalenia się odrobiną znajomości stosunków zachodnio-europejskich. Podobnym psychologicznym pobudkom trzeba przypisać cytat z »Temis polskiej«. (str. 22) który w argumentacyi ogólnej, na szerszą miarę zakrojonej, jest przez swoją drobiazgowość poprostu śmiesznym intruzem, wcale nie mogącym zaważyć na szali.

A cóż powiedzieć o takich, argumentach, jak n. p., że wrazie usunięcia łaciny ze szkół średnich nie mielibyśmy kogo na »bonońskiego iniwersytetu jubileusz«, że nie będziemy mogli wyprawiać młodych uczonych do archiwów watykańskich, że »Krzycki i Dantyszek pozostaliby martwą literą«, że zapomnielibyśmy o Miechowicie i Kromerze, Piaseckim i Sokołowskim, chociaż Kallimach pamiętał o Grzegorzu z Sanoka? (taki, choć nie całkiem dosłownie oddany związek myśli znajduje się na str. 38 broszury)? Albo ten argument, że mszy nie byłoby komu rozumieć! Kto kiedy podczas mszy słyszy, kto słucha cichych łacińskich modlitw księdza? Niech p. Popiel zajrzy do podręcznika liturgiki dla szkół średnich, a tam się dowie, że kościołowi katolickiemu nic nie zależy na tem, aby wierni wprost i bezpośrednio podczas mszy rozumieli treść nabożeństwa że przeciwnie urok niezrozumiałości jest jednym z motywów, którym się uzasadnia używanie łaciny jako języka liturgicznego; że nie całego ludu lecz tylko ministrantów jest zadaniem brać w modlitwach kapłana bezpośredni udział, a reszta ma śpiewać, lub modlić się z książeczki, w której msza dostateczne znajduje wyjaśnienie. Niech p. Popiel nie będzie gorliwszym o sprawę Kościoła niż sam Kościół.

Ale dosyć tej drobnostkowej polemiki. Wracając do głównego wątku naszych myśli, powtarzamy raz jeszcze, że nie tylko żaden ze zwolenników reformy nie żąda usunięcia łaciny, ale że przeciwnie pragną oni przez utworzenie jednolitej szkoły średniej umożliwić korzystanie z dobrodziejstw znajomości języka łacińskiego także i tym uczniom, którzy dotychczas byli od nich wykluczeni. A jakże jest z językiem greckim? Czy przynajmniej ten przedmiot pragną reformatorowie tak gruntownie ze szkół wyrzucić, jak to sobie autor wyobraża? Tak jest, są i tacy. Wychodzą oni z tego założenia, że język grecki nie jest ani w setnej części tak potrzebny w późniejszych zawodach jak łaciński, a trudności gramatyczne sprawia stokroć większe, że rezultaty nauki tego przedmiotu są niesłychanie małe, że idealnym, kształcącym celom filologii stanie się do pewnego stopnia zadość już przez zatrzymanie języka łacińskiego; że wreszcie przeciążenie językowe i aktualna potrzeba uczenia się języków nowożytnych czynią naukę greczyzny zbytkiem, na który nie możemy sobie pozwalać. Co wymyślił autor, aby tych skrajnych przeciwników greczyzny przekonać? Oto kilka rozrzuconych argumentów, blednących kompletnie przy tym ogromnym arsenale, jakiego użył autor na korzyść nie zagrożonej bynajmniej łaciny. Patrystyka i biblia wymagają od teologów znajomości języka greckiego; uczony prawnik historyk prawa, profesor na wszechnicy n i e r a z greckim językiem posługiwać się będzie zmuszony; zawodowy badacz filozofii musi czytać filozofów greckich w oryginale; dla historyka Tucydydes jest niedoścignionym wzorem; historykowi literatury przekłady nie dadzą dobrego o literaturze wyobrażenia, zwłaszcza, że i one się wyczerpią, a nowych nie będzie komu pisać, dla lingwisty nowożytnego język grecki będzie »solą i aromatem«; wreszcie Arystoteles i Hipokrates pisali po grecku.

Na to kilka słów odpowiedzi. Z teologów, uczonych prawników, zawodowych filozofów, historyków piszących dzieła, któreby aż Tucydydesa mogły naśladować, wreszcie z lekarzy i przyrodników, którzyby aż do historyi początków medycyny i nauk przyrodniczych sięgali, składa się zbyt mała część inteligencyi, aby cała olbrzymia większość miała się do nich stosować. Przeciwnicy greczyzny mają wszelkie prawo powołać się na to, że nie godzi się całej młodzieży obarczać balastem przedmiotu dla niej niepotrzebnego, na to, aby z pośród niej wyjść mogła garstka takich, którzy go będą potrzebowali, że dla »soli i aromatu« nie wykrzywia się tysiącom chłopców kręgosłupa dwugodzinną codzien-

nie przez lat kilka pracą. Duchowieństwo obywało się do końca średnich wieków bez greki, choć wydawało Dominików, Franciszków i Kapistranów i dzisiaj jeszcze w miarę zapotrzebywania księży w danej dyecezyi, rekrutuje się ono częściowo z uczniów, którzy mając gimnazyum skończone, nie składają egzaminu dojrzałości, czując — prawdopodobnie nie w samej tylko fizyce i matematyce, ale i w humanistycznych przedmiotach — niedostateczność swego przygotowania; mogłoby więc i dzisiaj obyć się tem kwantum greczyzny, którego jak języków wschodnich uczyłoby się na uniwersytecie. Uczony prawnik bardzo rzadko będzie miał sposobność zaglądać do greckich źródeł, bo kształcący pierwiastek prawa rzymskiego mieści się w łacińskich pandektach, nie w greckich nowelach Justyniana i bizantyskich hexabibliach. Filozof choćby i w gimnazyum i na uniwersytecie uczył się po grecku dzieł Arystotelesa, z których niektóre zdają się być skryptami niedbale zredagowanymi przez uczniów, bez komentarzy i tłómaczeń nie zrozumie. Historyk, któryby chciał dziś naśladować Tucydydesa, naraziłby się poprostu na śmieszność, bo dzisiejszy smak artystyczny i aparat źródłowy wykluczają wszelką możność takiego traktowania historyi, a literatura francuska i angielska, dają nam stokroć bliższe do naśladowania wzory. Historyk literatury, któryby chciał arcydzieła poznawać w oryginale, nie samej greczyzny, ale bardzo wielu innych języków będzie się musiał uczyć; a nie zawadzi przypomnieć p. Popielowi zdania Mickiewicza, przechowanego nam w listach Odyńca, że arcydzieła poezyi powinno się zawsze czytać w swoim własnym języku, bo tylko wtedy się je odczuwa. Na to zaś, aby prostować błędy przykładów i zastępować je nowymi, znajdzie się chyba zawsze w każdym narodzie kilku ludzi, tak jak się znajdują do każdego najbardziej zakazanego języka nowożytnego.

Czyż można sobie wyobrazić, by nikt nigdy nie zechciał uczyć się po łacinie lub grecku dla swego indywidualnego zamiłowania, lub dla swojej indywidualnej potrzeby? Czyż można przypuścić, aby społeczeństwo cywilizowane, które w każdej chwili posiada kilku znawców każdego języka europejskiego, jedynie na punkcie greczyzny z chwilą jej wyklucznia ze szkoły, miało stać się kompletną *tabula rasa*? Jak z owym bonońskiego uniwersytetu jubileuszem, jak z archiwami watykańskimi, tak i z tymi przekładami klasyków uległ p. Popiel losowi człowieka, który chcąc przeciwników swoich sprowadzić *ad absurdum*, sam do absurdum dochodzi. (D. n.)

Bracia wy moi!

Towarzyszom z 17. kwietnia 1894 r.

Bracia wy moi! Jako klucz żórawi,
Który się, lecąc, w jasnem słońcu pławi,
Wszyscyśmy sznurem za przyszłości złotą
Lecieli gwiazdą z ogromną tęsknotą...

Bracia wy moi! Przyszły huragany,
Które rozbiły nasz klucz żurawiany,
Każdego w inną, obcą pędząc stronę,
Aby tam skrzydła prostował zbarczone...

I polecieliśmy — na świata krańce,
Smutne żórawie, żórawie — wygnańce...
I oto nasza przygasła już gwiazda,
A jest w nas tylko tęsknota do gniazda...

A jest w nas tylko tęsknota za polem,
Co się na wiosnę różowi kąkolem,
A jest w nas tylko tęsknota do chaty,
Której pilnuje nasz dąb rosochaty...

Bracia wy moi! Czy nas jeszcze w stadło
Los kiedy złączy i czy znów gromadą
W jasne polecim i promienne słońce,
Jak ptaki — wodze i przyszłości gońce?!...

Czy nasze ściągnie żórawiane wojsko
Na ogór swojski i na niwę swojską
I czy wicher, co nad nimi wieje
Dawną w nas zbudzi wiarę i nadzieję?...

Zdzisław Dębicki.



Boże Narodzenie u ludu w Podhorcach.

Na niebie migocą gwiazd miliony, księżyc świeci blady... A na ziemi w domach i chatach ludzkich zgromadziła się razem wszystka rodzina, by po wczorajszem wspólnem i wesołem spożyciu wieczerzy wigilijnej pogwarzyć i dzisiaj swobodnie i rozpalić serca przy ognisku domowem świętym ogniem miłości...

Mieszkańcy polscy Podhorzec cieszą się również pierwszym dniem świąt Bożego Narodzenia i oto z nadejściem wieczora gromadzi się każda rodzina w kółko w domu swoim i także się zabawia jak umie,

W tem wchodzą do pomieszkania chłopcy wiejscy i wnoszą „szopkę“. Jeden z chłopców, kierownik całej sceny, wygłasza najpierw powinszowanie:

Ogłaszam dzisiaj dzień Bożego Narodzenia
Odkupiciela, Stwórcy stworzenia,
Który z tej przyczyny przyszedł na świat,
Iżby zbawił ludzkie plemię.
Dziś wesoła niebieska muzyka
Nad Betlejemską stajenką wykrzyka,
A anioł radość dla pasterzy głosi,
Pokój rodzaju ludzkiemu przynosi
Cieszcie się Państwo — dziś pora wesela,
Oto widzimy w ciele Zbawiciela.
Niech ten, który Wam czyni wesele,
Pozwoli w zdrowiu przepędzić lat wiele,
W szczęściu i zdrowiu pomyślność daruje,
A po śmierci niebo ofiaruje:
Tego ja życzy i winszuje.

Po wygłoszeniu tego powinszowania otwiera szopk i zapala świecę, znajdującą się wewnątrz na przodzie.

Po lewej stronie szopki, przy ścianie, klęczy dziadek — furtyan i dzwoni za każdą występującą lalką. Po stronie prawej umieszczony jest żłóbek, w którem leży maluśki Jezus, a otaczają go: Matka Boska, św. Józef i pastuszkowie. Do żłóbka nachylają łby swoje wół i osieł. Po prawej i lewej stronie szopki, przy tylnej ścianie, jest umieszczonych dwoje drzwi-

Jest to urywek z obszerniejszej pracy p. t. „Lud polski w Podhorcach“. Część pomienionej pracy była drukowana w kwietniowym numerze „Ludu“. *(Przyp. Red.)*

czek, któremi wchodzą i wychodzą lalki. W środku tylnej ściany znajduje się także okienko, przez które patrzy się chłopiec, kierujący lalkami.

Lalek jest 17: 1.) Dziad 2.) Kominiarz 3.) Pan 4.) Żyd 5.) Żydówka 6.) Śmierć 7.) Dyabeł 8.) Chłop 9.) Baba 10.) Rozbójnik 11.) Furman 12.) Czarownica 13.) Węgier (a względnie Słowak) 14.) Maryanka 15.) Ułan 16.) Kozak 17.) Teklusia.

Lecz oto zaczyna się scena.

Dziad dzwoni. Wchodzi kominiarz i mówi: „Dobry wieczór, moje Panowie! Jestem sobie kominiarczyk od dobrego majstra, chociaż brzydki, ale szwydki; dlategom przyszedł Panu Jezusowi kominek wytrzeć.“

Zaczyna wycierać. Później śpiewa i tańczy, przyczem przygrywa mu muzyka wiejska. Śpiewa:

„Wędrował ja z tego kraju,
Potrzebował obyczaju,
Obyczaju nie szanował,
Do Betlejem nie wstępował,
Ani miotły, ni żelaza
I w pamięci jest też zmaza.“

Po tej pieśni odchodzi drugiemi drzwiczkami żegnając wszystkich słowy: „Dobranoc, moje Panowie!“

Po kominiarzu wchodzi „Pan“ i przedstawia się:

„Dobry wieczór, moje Panowie!
Jestem sobie pan,
Na swojej głowie
Stosowny kapelusz mam.“

Przechadza się, a wreszcie woła:

„Kozak Czapka!“

Kozak wchodzi: „Słucham Pana!“

Pan: „Idź mi po tego żyda gałgana.“

Kozak woła: „Żydzie! idź do pana!“

Przychodzi żyd: „Dobży wieciur panem, witam, klaniam, panie Jabloński! na plecy szeroki, po za stanem woński.“

Pan: „Łajdaku, na coś mi frak sfuszerował i jednego guzika nie przyszył?“

Żyd: „Panie! szabas zachodzili, robić się nie godzili. Do pańskiego frak jedwaby nie stali.“

Pan: „Czekaj, żydzie! ja cię nauczę! Hajducy! Idź temu żydowi bekiesz wypucuj.“

Żyd: „Ou! wa! co tu pucuj?

Wpada rozbójnik:

„Co ty, łajdaku memu panu powiedział? Głupstwo?

Żyd: „Niech Pan Byk broni! jak ja panem mówił głupstwy...“

Rozbójnik: „Połóż się, żydzie.“

Żyd: „Co to połóż?“

Rozbójnik: „Kładź się żydzie.“

Żyd: „Co to kladź?“

Rozbójnik: „Ja z tobą nieszpasuję. Masz dostać 25 buków.

Żyd: „Co to beńdzie? Rozbójstwy na drogi!“

Tymczasem rozbójnik daje mu 25 buków. Żyd krzyczy:

„Gewałt! Sury! wychodź z komory, bo twój Lajbuś duże chory.“

Sura wychodzi:

„Och gewałt, Lajbysz! sudu guli naju, synysztu guli, nyr di basamany, gyb mir lubyniu a kysz ynd kim a bysł tanc.“

Poczem śpiewa:

„A mój Lajbuś dobży byl,
Kupil mięsy samych żyl,
A te żyli dobre byli
Samy z garki wylazili.“

Lajbuś tańczy następnie z Surą. Muzyka gra. Po tańcu żydówka znów śpiewa:

„A mój Lajbuś kochany.
Pożycz że mi lachmany,
Jak mi Pan Byk pocieszy,
Ja oddam Ci bekieszy.
Z reńkawiczki, z reńki, z nogi,
Rachcim, ciachcim po podlogi.“

Po wyjściu żyda i żydówki zjawia się chłop i mówi:

„Sława Bohu! Mości panowy! jestem sobi Wasyl Bohacz, sto kirci pszenyci prodaw, samymy mediazamy hrosi zabraw.“

Ogląda się za swoją Horpyną:

„Ałe deś tu je moja Horpyna. Chody no, stara, ta pidemo troszki kozaczka.“ Śpiewa:

„Oj piszowbym kozaka,
Taj nie maju siraka,
Siraczyna po kolina,
Szczej na zadu wyhoriła.
A szapoczka protiata,
Szczo w niej spały kotiata.“

Po nim śpiewa Horpyna:

„Kołomyja ne pomyja,
Kołomyja misto;
Ja ne jiła i ne budu
Jaczminnoje tisto.“

Po skończeniu śpiewu Horpyny, chłop odsyła ją do domu i wydaje dyspozycyę co do pierogów:

„Teper, moja stareńka, idy do domu i zwary meni ze semolitusho syrcia pyriszkiw. Majut chrobaczky zjisty, to lipsze ja sam zim.“

Zwracając się do publiczności mówi:

„Teper, moji Panowy, skażu wam, jakim jizdyw z Lembergu do Lwowa. Wozywim pszynyci i nosywim na trete pontro po schodach... Oj, tak mene kolka wkołoła... podobnoś budu wmyraw.“ Przy ostatnich słowach wychodzi śmierć, kłuje chłopa w jeden bok i ucieka. Za chwilę powraca i mówi:

„Ty złodzieju bogaczu, już dosyć tego, na tym świecie ludzi oszukiwać. Jestem śmierć, przyszłam po twoją duszę“.

Podnosi kosę, którą trzyma w ręce i odcina głowę, a dyabeł wyskakuje z za drzwi, łapie Wasyla Bogacza i niesie z radością do piekła.

Teraz wychodzi rozbójnik:

„Jestem sobie rozbójniczek z janowskiego lasu, co zarobię, to przypiję, to wszystko do czasu.“ Śpiewa:

„Nutyż nasi, nutyż nasi,
Hajdamaszki idut.
Jak my pidem na Moskala wojowat'
Bude jemu tysiacz mat' mordowat?“

Potem żegna się:

„A teraz dobranoc, moje Panowie!“

Wchodzi furman:

„Jestem sobie furman pana Jabłońskiego,
Co wynoszy cytrynki z pod koników jego.“

Śpiewa:

„Ej furman ja ci furman,
Służy mnie furmanka,
Co ja zafurmanię,
Przepije kochanka.“

Następnie krzyczy: „Żydówko, daj wódki za 4 dutki!“
Lecz nagle zjawia się pan:

„Ty łajdaku, myszy koniom ogony poodgryzały, szczury w sieczkę ponapaskudzały, a ty będziesz wódkę pił? Marsz do koni!“

Furman: „Kłaniam się panu“ i wynosi się jak nie pyszny.

Pan woła teraz: „Kozak Czapka!“

Kozak: „Słucham Pana!“

Pan: „Idź mi po tego żyda gałgana.“

Kozak: „Żydzie, idź do pana!“

Wchodzi żyd: „Witam, klaniam, panie Jabloński, na plecy szeroki, a na dole wośki. Co pan poczebuje? Może sobole na wilczury z moskiewskiego kraje, co tu sprzedaje, a tam darmy daje?“

Pan: Ty łajdaku, co to mówisz? Ja po ciebie śmierć przyślę!“

Żyd: „Co śmierdzi? nic nie śmierdzi!“

Pan: „Poczekaj łajdaku!“

Przy tych słowach pan odchodzi, a żyd tymczasem śpiewa:

„Ja się śmierci nie boje, nie boje,
Szklanky piwy wypije, wypije.“

Lecz wszelka odwaga odstępuje go na widok śmierci, która zjawia się przed nim: „Co, łajdaku? panu mówić głupstwo? Ja przyszła po twoją duszę.“

Żyd w trwodze próbuje żartu mówiąc: „Co? po za megi duszy? A czym ja bedzi panu frak wyprasować muszę?“

Ale śmierć nie zna żartów, więc odpowiada:

„Ja tu nie przyszła prasować!“

Uderza żyda po szyi kosą i wśród jęku i stęku poprzednio zlatuje głowa Lajbusia. Przybiega dyabeł i zabiera do piekła.

Wchodzi kozak i przedstawia się:

„Jestem sobie kozak pana Jabłońskiego,
Co mu noszę kawę i cytrynkę do stolika jego.“

Śpiewa po rusku:

„Jichaw kozak wownianyj
Konem buraczkowym,
A szapoczka z pasternaku,
Żupan łopuchowyj;
A czobitki z ribki,
Stremena z fali,
A pistolet z kaczana,
Kuli z baraboli.“

„Teklusia kochana, chodź no tu, pójdziemy sobie galopada,“ tak mówi do wchodzącej właśnie Teklusi. Tańczą, poczem Teklusia śpiewa:

„Czy ja sucha, czy ja blada,
Zagrajcie mi galopada,
Galopada będę skakać,
A ty mężu będziesz płakać.“

Znów tańczą, aż wreszcie kozak żegna swoją połowicę:

„Dajże mi, kochana żono, buziaka! Ty idź spać, ja mam do kolacyi nakrywać.“ Całują się i odchodzą.

Występuje na scenę Węgier z towarami (Węgrem nazywają włościanie Słowaka, chodzącego od miejsca do miejsca z koszem na głowie):

„Jestem sobie Uhor z pod uhorskich hranic. Zasiał, zaorał, przyszło zbierat, ne ma nic. Na hori wypaliło, na dole wymuliło i ja sem na tom ne utraci, mam tu propiekne towari. Jeśli ne, to mam tu Maryanku, propieknu kochanku, to sobie z nią potańcujemu.“

Woła: Maryanko propiekna kochanko! chodź sem tu! Gde ti wczoraj buwala?“

Maryanka: „W Karmelitu sediela.“

Węgier: „A co ty tam robiela?“

Maryanka: „Salamachu jela.“

Węgier: „A jaka to salamacha?“

Maryanka: O, taka husta potrawa.“

Węgier: „O, ti durna Maryanko, gdibis bila priszla do mene wczera, bil bim ti dal kus miasa, kus chleba, bicia więcej jak potrzeba. Teraz mi hrajte.“ Śpiewa przy muzyce:

Segem, legem malatana,
Co prinosem, to dla Pana,
Segem. legem malachusa,
Co prinosem, dla Jezusa. Odchodzi.

Zjawia się na scenie ułan austryacki i przedstawia się mówiąc:

„Jestem sobie ułan bardzo ubogi,
Mam od kartacza połamane ręce i nogi,
A czako mam w cztery grani,
Jako mają cysarskie ułani.“

Tańczy, a potem śpiewa piosnkę żołniersko-ułańską:

„Gdy ułana zawerbują,
Złote góry obiecują,

Sześć grejcary na dzień dają,
Przytem zdrowie odbierają."

Muzyka gra na nutę powyższej pieśni, ułan tańczy, awreszcie znów śpiewa w dalszym ciągu:

„A gdy na plac wprowadzą,
Ojciec, matka nie poradzą;
Przypinają szablę z boku
I rychtują nogi w kroku."

Po odejściu ułana zjawia się czarownica i mówi przedstawiając się:

„Jestem sobie Marcinowa,
Krupiareczka z pod Krakowa,
Wydam córkę za dziedzica,
Sama pójdę za szlachcica.
Przyszłam panu Jezusowi masełko zrobić."

Robi to masełko w maśniczce, przyczepionej do niej, a po tem zaczyna śpiewać:

Poleciała przepióreczka w proso, w proso,
A ja za nią nieboraczka boso, boso.
Zapomniałam pani matki spytać, spytać,
Czy pozwoli przepióreczkę schwytać, schwytać.
Chwytaj, moja córuś, chwytaj, chwytaj,
Tylko się jej pióreczek nie tykaj, nie tykaj."

Gdy tak sobie wyśpiewuje pani Marcinowa, nie przeczuwając nawet grożącego jej niebezpieczeństwa, wpada nagle dyabeł, łapie babę w swoje szpony i krzyczy:

„Ty bestyo czarownico na taką uroczystość będziesz masło robić?"

Pal babę, pal dyabła, zaczynają się bić. Lecz zwycięstwo odniosła baba, a dyabeł ucieka ze wstydu. Teraz w tryumfie śpiewa czarownica:

„A ja baba wygrała,
Żem się dyabłu nie dała;
Żeby jeszcze takiego,
Toby było na niego."

Dyabeł, który tymczasem stał za drzwiami, usłyszawszy słowa pieśni, wyszydzające go w nielitościwy sposób, wpada w gniew okrutny, wlatuje do szopki, łapie babę i pokonaną już teraz zanosi do piekła. Z piekła wraca raz jeszcze, by oznajmić, co się stało z babą, a oznajmia to śpiewając:

„Poszła baba po popiół,
Tam ją dyabeł uchopiół,
Ni popiołu, ni baby,
Tylko z baby dwa schaby.“

Następnie i on przedstawia się:

„Jestem sobie antychryścik pana Twardowskiego,
Com się wysypiał w kolebkach i pierzynkach jego.
On mi uszył kobiałeczki,
Ja mu uszył kapciułeczki.
On mi uszył koszulinę,
Że omało ja nie zginę.“

Gasi świecę i wychodzi i na tym kończy się przedstawienie w szopce.

Teraz występuje na środek pomieszkania chłopiec, przebrany za żyda, ukryty dotychczas poza szopką. Inny chłopiec, towarzyszący szopce wraz z drugimi, pyta:

Chłopiec: Skąd ty żydzie?
Żyd: „Z Narajowa Panie!“
Chłopiec: „Czem się trudnisz?“
Żyd: „Nożyczkiem, panie!“
Chłopiec: „Zagraj żydzie!“
Żyd: „Szabas, panie!“
Chłopiec: „Buka na żyda.“
Żyd: „Zara, panie!“ Śpiewa:

„Rękawiczki z ręki, z nogi,
Rachcim, ciachcim po pidłogi.“

Śpiewając to tańczy, a muzyka mu przygrywa. Następnie wyłudza w rozmaity śmieszny sposób pieniądze, podczas gdy chłopcy od czasu do czasu stawiają mu różne pytania, na które żyd daje zabawne odpowiedzi.

Chłopiec: „Żydzie miał ty ojca?“
Żyd (śpiewa:) „Miał ja ojca bogatego,“
Dał mi dyabła rogatego,
I kożuszek ze wszami,
Żebym ruszał plecami. Hif!“
Chłopiec: „Żydzie, miał ty żonę?“
Żyd (śpiewa): „Ożenił ja się na Bukowinie,
Wziołem sy żony, co pasła świnie,
Z chłopskiego rodu, z pańskiego chodu,
Niechciała robić, i zdechła z głodu.
Pochował ja ją pod świńskim progiem,
Zadzwonił ja jej baranim rogiem,

Ja na jej grobie
Poskakam sobie,
A za jej duszę,
Drugą wziąć muszę. Hif."

Chłopiec: — Żydzie, na co masz garb na plecach?
Żyd: — To nie garb! —
Chłopiec: — A co to jest? —
Żyd: — Pszono i krupy, —
Chłopiec: — Na co? —
Żyd: — Dla króliki. —
Chłopiec: — A na co ci króliki? —
Żyd: — Na moje Sury na futry. —
Chłopiec: — A ty masz żonę? —
Żyd: - Mam, panie! —
Chłopiec: — A dzieci? —
Żyd: — Mam panie! —
Chłopiec: — Ile? —
Żyd: Trzy... —
Chłopiec: — Jak dawnoś się ożenił? —
Żyd: Dwa laty. —
Chłopiec: — A czemu masz 3 dzieci? —
Żyd: — Bo tak Pan Byk dał. —
Chłopiec: — Dobrze! Jak ty tu przyszedł? —
Żyd: — Ja nie przyszedł, ja przyleciował sroki na ogonie. —
Chłopiec: — A ona ciebie gdzie posadziła? —
Żyd: — W kościele na dzwonie. —
Chłopiec: — To ty upadł? —
Żyd: — Taże nie skoczył. —
Chłopiec: — To ty płakał? —
Żyd: — Herst du, taże nie skakał. —
Chłopiec: — To źle! —
Żyd: — Nie bardzo źle, bo mi za to pan dwa korcy bobu podarował. —
Chłopiec: — To dobrze! —
Żyd: — Nie bardzo dobrze, bo jeden bil skwitli, a drugi zgnili. —
Chłopiec: — To źle. —
Żyd: — Nie bardzo źle, bo ja sobie świnki podkarmił. —
Chłopiec: — To dobrze! —
Żyd: - Nie bardzo dobrze, bo jednego wilk ukradł, a drugiego złodziej zjadł. —

Chłopiec: — Żydzie miał ty wojsko? —
Żyd (śpiewa): — Miał ja wojski cztyry tysięcy,
A mieli oni czapki zajęcy.
Chłopiec: — Żydzie, miał ty kowala?
Żyd: — Miał ja kowale,
Co za piecem kuł,
Zrobił mi taki haczek,
Że ja plecy kłuł. —
Chłopiec: — Żydzie, coś po tobie lizie. —
Żyd: — Co? Nic nie lizie!..: —
Chłopiec: — Ale żydzie, coś po tobie lizie! —
Żyd: — To pcheł. —
Chłopiec: — Czego ona taka biała? —
Żyd: — Bo ja ją prał.. —
Chłopiec: — Czego ona tak plaskata?
Żyd: — Bo ja na niej spał. —
Chłopiec: — Zabij, żydzie! —
Żyd: — Zaraz, panie! — (zabija puszką na pieniądze).

Po tych i innych zabawach, gadaninach i figlach żyda, odchodzą chłopy z szopką i z muzyką, a na pożegnanie śpiewają:

Wiwat, wiwat, już idziemy,
Za kolędę dziękujemy,
Na drugi rok znowu przyjdziemy.

Bronisław Kryczyński.

Kilk uwag o istocie snu.

Jednym z najbardziej znanych codziennie zjawisk, lecz równocześnie najmniej *poznanych* jest sen.

Jaka jest jego przyczyna, co się dzieje w naszym ustroju, gdy w sen popadamy, czego skutkiem jest ta jego nieubłagana peryodyczność, jak należy tłómaczyć tę nieodzowną potrzebę pokrzepiania organizmu każdego żyjącego tworu przez sen wszystko to są pytania, na które prawie, że nie mamy zadawalniającej odpowiedzi.

Co najwyżej znamy bezpośrednią przyczynę snu, ten stan psychiczny, który go zawsze poprzedza t. j. znużenie, lecz znów nierozwiązaną jest dla nas zagadką, czem jest właściwie stan

który my jako znużenie *odczuwamy*, dlaczego równocześnie z nim pojawiają się pewne zjawiska, dostępne do doświadczeń, jak przytępianie zmysłu dotyku, a raczej pewne charakterystycze zmiany, które w nim zachodzą, utrudzenie myślenia, którego istoty, mimo bardzo subtelnych doświadczeń Mussa znowu nie znany i tak dalej i tak dalej ciągnie się ten łańcuch prawie bez końca.

Umysł ludzki szamota się, tworzy z gorączkowym pospiechem hipotezą za hipotezą, zbiera fakty, prowadzi coraz większą ilość doświadczeń, lecz mimo tych wszystkich wysiłków zagadka pozostaje zagadką, a człowiek spi codziennie nie wiedząc zupełnie nic o tem, co go do tego zniewala myśli nie zdając sobie sprawy, a raczej nie mogąc tego uczynić, co się wówczas z jego mózgiem dzieje i *czy się* w ogóle *coś dzieje*, odczuwa codziennie znużenie po pracy, wie doskonale o istnieniu w nim tego stanu, bez możności określenia jego istoty, czuje, że po odpoczynku znowu jest zdolny do pracy, lecz znów jest dla niego zagadką, co mu przywróciło znowu tę możność myślenia.

W miarę piętrzenia się trudności, rośnie ilość pierwszorzędnych myślicieli, którzy starają się je usunąć, często jednakowoż praca ich jest bez skutku.

Kwestya też snu jest jedną z tych ciemnych pytań, na które starała znaleść odpowiedź bardzo wielu fizyologów, psychologów i psychofizyków, dlatego znaczną jest i literatura tego przedmiotu i wielka ilość doświadczeń.

I całegu szeregu hipotez dażących do wytłómaczenia istoty snu była najbardziej popularną hipoteza Preyera o toksycznych jego przyczynach.

Utrzymywał on, że w ciągu dnia wytwarza organizm pewne trucizny, które ustrój zakażają, i jako widmy znak tego zakażenia jest sen, który trwa tak długo, póki trucizny nie pozbędą się trujących swoich własności.

Jedną z takich trucizn był kwas mlekowy, który, co doświadczalnie zostało stwierdzonem, wytwarza się w mięśniach w wielkiej ilości, — Drażniony prądem cewki indukcyjnej wycięty mięsień kulszowy żaby wykazuje po swoim znużeniu wielką ilość tej ustrojowej trucizny. Wyciąg glicerynowy z takiego mięśnia, który się w ten sposób sporządza, że znużony mięsień, po pocięciu go na kawałki, trze się w moździerzu z tłuczonym szkłem, a następnie przesącza przez gęsty filter z dodaną gliceryną, po zastrzyknięciu do nieznużonego ustroju żaby

wywołuje w jej mięśniach stan do znużenia podobny. Toby przemawiało bardzo wyraźnie za prawdziwością twierdzenia Preyera. Lecz równocześnie znaną jest rzeczą, że możemy mięsień żaby, który do doświadczenia |został zupełnie wycięty, i objawił swe znużenie niemożliwością skurczy, który poprzednio istniał przy działaniu podniety zewnętrznej n. p. prądu indukcyjnego, po pewnym czasie, znowu jest zdolny do skurczów. Mówimy wówczas że mięsień *odpoczął*. I to by było potwierdzeniem hipotezy Preyera, gdyby nie ta okoliczność, że mięsień został zupełnie wycięty, nie ma więc w nim przemiany materyi spowodowanej krążeniem krwi i oddechaniem, niewytłómaczoną jest więc rzeczą, gdzie się podziały te trucizny, które wywołały znużenie, a raczej co zaszło, iż one pozbyły się swych trujących własności. — Ten fakt osłabia bardzo tłómaczenie powstawania snu na podstawie wytwarzanie się trucizn w organizmie.

Drugą trucizną, której działaniem zajmowano się bardzo, i wielką ilość doświadczeń poczyniono w tym kierunku jest *mocz*.

Że mocz posiada własności trujące o tem przekonano się niezbicie, wstrzykując go do żyły królikom, które prawie zawsze ginęły podczas występujących drgawek silniejszych lub słabszych; niekiedy drgawki były bardzo silne, a śmierć następowała podczas pojawiania się epistotonusu.

W doświadczeniu tego rodzaju chodziło o wykazanie, czy istnieje jakaś różnica w działaniu moczu rannego t. j. oddanego po nocy i wieczornego t. j. oddanego tuż przed udaniem się na spoczynek.

Prócz wstrzykiwania moczu do żył królika skrapiano również moczem ogrzanym do 38°C korę mózgową zwierzęcia, po odsłonięciu pewnej jej części przez usunięcie kawałka kości z czaszki, czyli przez t. z. trepanacyę.

Doświadczenia tą ostatnią drogą prowadzone dały bardzo sprzeczne rezultaty i zjawiska toksycznego działania moczu nie wytłómaczyły.

Inaczej ma się rzecz z badaniami pierwszego rodzaju. Mocz używany do doświadczeń pochodził tak od osób pracujących wyłącznie umysłowo, jak i tych którzy zajmowali się tylko pracą fizyczną. — Często przy tych doświadczeniach zapisywano ciśnienie krwi na kimografionie. Jeżeliby trucizny powstające w ustroju, a szczególności mocz był przyczyną snu,

wówczas jasnem jest, że działanie moczu oddanego wieczór powinno być silniejszem od rannego.

Tymczasem wyraźnej różnicy w tym wypadku nie spostrzeżono. Wahania zaś były bardzo znaczne.

I tak n. p. podczas doświadczeń z moczem wieczornym następowała śmierć przy bardzo różnych ilościach wstrzykniętej toksyny.

N. p. królik ważący 1200 gramów zdechł *bez drgawek* już po wstrzyknięciu 32 cm^3 moczu o ciężarze gat 1·030. W zaraz następnem doświadczeniu królik o wadze 1000 gr. wytrzymał 368(!) cm^3 wstrzykniętego moczu o c. g. 1.015. Śmierć nastąpiła wśród drgawek nadzwyczaj silnych. Przy 200 cm^3 okazywał silną duszność, która niebawem ustąpiła, przedtem zaś lekkie drgawki, które również zniknęły bardzo prędko. — Ilość 368 cm^3 moczu była największą, jaką widział piszący te słowa w doświadczeniach, o których mowa.

W innym wypadku mocz ranny, który powinien okazywać mniejszą siłę trującą działał zabójczo już przy 59 cm^3 na królika wagi 1600 gr., lub przy 70 cm^3 na krolikach 1050.

Wogóle jak wyżej zaznaczono nie było przy omawianych doświadczeniach różnicy w toksyczności rannego i wieczornego moczu. Te więc doświadczenia nie przemawiają za toksyczną przyczyną snu.

Drgawki nadto, które przy śmierci zwierząt zatrutych moczem występują, nie są przyczyną podrażnienia kory mózgowej, gdyż miały one miejsce nawet w tym wypadku, gdy zwierzęciu przed doświadczeniem zostały wycięte *obie półkule mózgu.*

Głównym zaś czynnikiem trującego działania moczu są związki nie organiczne, a mianowicie sole potazowe. Wszystkie te jednak doświadczenia nie obalają bynajmniej twierdzenia Preyera o toksycznych źródłach snu, gdyż ani twórca tej teoryi, ani żaden z jego poprzedników nie są w stanie określić, ani gdzie się tworzą te trucizny w ustroju, ani w jaki sposób one działają, lub na jakie organy. — Doświadczenia z wyciągiem glicerynowym znużonego mięśnia potwierdzają ją do pewnego stopnia, doświadczenia z moczem przeczą teoryi Preyera: — Gdzie leży prawda nie wiadomo. — To jest jednakowoż niemal pewnem, że mocz *trucizną sen wywołującą nie jest.*

Obok teoryi o toksycznych przyczynach snu pozostała i druga, a polegająca na twierdzeniu, iż w stanie znużenia, który jest tłem snu, brak jest połączeń włókien nerwów czuciowych z korą

mózgową — stąd ma pochodzić ta zupełna bezczynność i niemożność odbierania podczas snu wrażeń z zewnętrznego świata. Badania, prowadzone nader skrzętnie za pomocą preparatów mikroskopowych, nie dały dodatniego rezultatu.

Tak tedy kwestya przyczyny snu jest wciąż jeszcze otwartą.

Oprócz badaniem przyczyny snu, czem kwestyę znacznie naprzód posunięto, jednakowoż jeszcze nie rozwiązano, zajmowano się bardzo wiele *głębokością* snu tak naturalnego jak hipnotycznego, lecz o tem pomówimy już w jednym z następnych numerów. B.

MŁODE PIÓRA

Psalmy boleści.

I.

Tak ciemno, st. aszno! Dzikich sił żywioły
Wirują dokół w rozbestwionym szale,
Życia namiętne, zapienione fale
Prą w przepaść nocy i boleści doły!
Ojcze, ja tonę wśród wiru i nocy,
W walki żywiołów strasznym huraganie,
Tchu braknie piersi! Ratunku, pomocy
Do Ciebie wołam wśród wiru i nocy,
Zmiłuj się panie!

Tak duszno, ciemno! Obłąkanym wzrokiem
Gwiazd szukam — czarna chmura tam się kłębi
Skąd światło biło! Zadrżałem do głębi:
Niemasz gwiazd Twoich, lub tajne przed okiem!
Truchleję, Panie! Jako liść na drzewie
Jesiennym wichru świstem kołysany,
Drzy dusza moja i w wichrów powiewie
Bez podstaw bujam, jako liść na drzewie,
Panie nad pany!

Co za okropne, za piekielne głosy!
W podstawach ziemia drży i niebios sklepy,
Przestwór ogarnia zamęt straszny, ślepy,
Hukiem dokoła mnie grzmią gromów ciosy!
Lecz głos mój przejdzie, ach bo jęk to duszy,
Co jeszcze w pętach, ale w górę wzlata —
Usłysz ją, Ojcze, a swe pęta skruszy,
Skłoń ucho skardze, ach bo jęk to duszy,
Panie wszechświata!

Brzeżany.

R. S.

Z dramatów Duszy Człowieka.

W cieniu rozłożystego drzewa, na wzgórku, wypoczywała wielka gromada ludzi, pokrytych kurzem, a kije pielgrzymie i sakwy leżały obok nich.

Znużeni byli, albowiem niemałą już przebyli drogę od miasta rodzinnego, z którego wyszli o świtaniu, a wyszli dla wielkich niedostatków życia, które w niem znosić musieli.

Jedni — dobywszy z swych sakw podróżnych chleba powszedniego, żuli go w milczeniu i patrzyli przed się napół bezmyślnie, drudzy — rękoma odgrażając się w stronę miasta rodzinnego, przeklinali swoich wrogów współobywateli, co na każdym gnębili ich kroku, a — niepokonalni dla bogactw i siły liczebnej, byli ostateczną ich wychodźtwa przyczyną. Inni zaś żywo i hałaśliwie radzili o drodze, którą by dalej iść mieli.

Tylko jeden z nich. młodzieniec jeszcze, siedział na uboczu samotny, zadumany, a w jego wielkich, czarnych oczach był jakiś posępny smutek, jakiś melancholijny niepokój duszy, szukającej czegoś, o czem — nie wie...

Nagle niepokój ten zwrócił oczy jego i twarz ku — piasek tylko i kamienie rodzącym łonom pustyni, co pełzły prawie aż do stóp wzgórka, goszczącego gromadkę, a pełzły nie wiedzieć skąd..

I oto ujrzał białą, promienną w słońcu postać, która płynęła nad pustynią, jak błogosławieństwo jakiejś dobrej, kochającej ręki...

I czas jakiś sam tylko poił się tym widokiem, nie przeto, żeby był skąpiec dla braci swej — jeno, że o niej zapomniał

w pierwszej chwili, tak mu to boskie zjawisko koiło melancholijny niepokój duszy...

Tymczasem biała postać płynęła coraz bliżej, bliżej...

Nareszcie — zobaczył kroki człowieka...

I wtedy rzekł do braci: „Patrzcie, oto jakiś cudzoziemiec idzie ku nam z pustyni“.

A ci, co byli najbliżej, popatrzyli pierwsi w tę stronę i dziwili sią pytając: ktoby to był? A wtedy inni i coraz to inni zwracali głowy w pustynię — nareszcie wszyscy.

I uczynił się szmer w gromadzie i ciekawość wielka, która wytryskała szybkimi promieniami z ich oczu ku onemu z pustyni.

I jedni mówili półgłosem, że to pewnie kupiec z krajów, co są gdzieś daleko za pustynią, że wnet za nim nadąży jego karawana; drudzy, że święty jakiś pustelnik, co w pustyni czynił pukutę; inni, że to szatan — kusiciel w białych szatach anioła...

A on zasię był coraz bliżej i bliżej...

A kiedy już widać było jego twarz piękną, dziwnie uduchowioną, kiedy z ust jego wypłynął litą falą niezrozumiały jeszcze dobrze dźwięk powitania, ów młodzieniec, w którego wielkich czarnych oczach był jakiś posępny smętek, jakiś melancholijny niepokój duszy, szukającej czegoś, o czem — nie wie..., myślał w sobie: „Dusza...“

Zaś biały cudzoziemiec był już pośród nich z pozdrowieniem: „Niech będzie pochwalony Człowiek i Dusza jego, co każe mu szukać szczęścia i iść naprzód...“

I mówił dalej do zdziwionych powitaniem, jakiego jeszcze nigdy nie szłyszeli: „Bracia moi, których kocham, którzy mnie pokochacie...

„Umocniwszy ducha swego w walkach z samotnością i ciszą pustynną, przychodzę do was, iż wiem, że uszliście z pod ucisków miasta rodzinnego, aby szukać szczęścia...“

„Oto pójdziecie za mną, a ja was powiodę...“

A ów młodzieniec, co miał w wielkich, czarnych oczach jakiś melancholijny niepokój duszy, szukającej czegoś, o czem nie wie — patrząc weń i słuchając myślał: „Dusza...“

A inni z gromady wahali się, czy to jest dobry przewodnik — choć widzieli jego twarz, z której ich melancholijny brat czytał: „Dusza...“, a inni mówili, że to szatan-kusiciel w szatach anioła — i tak pozostawali na miejscu sprzeczając się i wahając.

Zaś cudzoziemiec stał chwilę milczący i smutny, a potem znów rzekł:

„Bracia moi, których kocham, którzy mnie pokochacie... oto przyszedłem, bym was wiódł ku szczęściu — pójdźcie za mną...“ i począł iść.

A pierwszy postąpił za nim ów, co miał w wielkich czarnych oczach jakiś melancholijny niepokój duszy szukającej czegoś, o czem — nie wie...

A potem ci, co mieli drobinę — chociaż wahającej się — wiary, krokiem wolnym i niepewnym, wreszcie i ci, co mienili go być szatanem — kusicielem, ruszyli się hałaśliwie i tłumnie, zabrawszy sakwy na plecy, a kije w ręce...

I szli tak wielkim korowodem: na czele biały cudzoziemiec, za nim ów pełny melancholijnego niepokoju duszy w oczach, dalej po dwóch, po trzech i więcej z tych, co się zrazu wahali, wreszcie tłumem owi hałaśliwi

Z początku pełznął ten chorowód naprzód wężem niedługim, a jędrnym, pełnym mocy; ale powoli jął wydłużać się coraz więcej, coraz więcej, aż się wyciągnął w czarną nić idących pojedynkiem, a ostatni, co już zaczęli byli przedtem odwykać od widoku przewodnika, znikającego na zakrętach drogi, w końcu zapomnieli o nim, a szli jedynie dla tego, iż im poprzednicy robili miejsce...

Tymczasem na karkach tych i owych zaczęła siadać zmora znużenia — zrazu mała, niepostrzegalna, a potem rosła i rosła, przygniatając ich z szatańską radością, bezlitośnie i rzucała im pod stopy kamienie, iżby się potykali.

A każdy inny widząc swego poprzednika zginającego się jakby pod ciężarem i potykającego się, zaczynał sam czuć ciężar na barkach i potykać się.

I było znużenie jak zaraza.

Czoła zaczęły spływać potem, oczy mgłą, a mózgi ospałością zachodzić i — ostatni przystanął i siadł na przydrożnym kamieniu:

„Odpocznę chwilkę, a potem przyspieszę kroku i dopędzę ich...“

Ale nie wstał już dopędzać niknących na zakręcie: było mu dobrze siedzieć.

Potem drugi — tak samo dziesiąty i setny... coraz dalej, a każdy siadał na kamieniu myśląc:

„Odpocznę chwilkę, a potem przyspieszę kroku i dopędzę ich...“

Ale nie wstał już dopędzać niknących na zakręcie drogi: było mu dobrze siedzieć.

A droga była od niejakiego czasu cięższa, jak z początku; wiła się wązką ścieżyną w górę coraz wyżej, nieznacznie, ale wyżej. I słońce zbliżało się już ku zachodowi.

A biały przewodnik szedł naprzód szybko; im cięźej było, tem szybciej, gwałtowniej.

Jego następca, ów młodzieniec, co miał w wielkich, czarnych oczach melancholijny niepokój duszy, szukającej czegoś, o czem — nie wie..., a czytał był w jego twarzy: „Dusza...“, teraz widział, jak jakiś gorączkowy ogień trawił ją coraz potężniej i gnał naprzód, jak coraz więcej kroków ich oddziela...

Szli...

Naprzód!... naprzód!!...

Widać szczyt!...

I gwałtowną radością zabiło serce w białym przewodniku, pierś mu rozpierając:

Tam — na szczycie świątynia... a za chwilę będzie w niej On... Dawca szczęścia... szczęśliwy Dawca Szczęścia!... Tam... jego Szczęście!... Takie wielkie!!...

I nagle drgnął. —

Uczuł jak fatalna moc skręca mu nielitościwie głowę w tył:

Niżej — na świecie, śród kamieni leżał człowiek i — okropne, wielkie, czarne oczy konającego, te, co ongi, pełne melancholijnego niepokoju, czytały w nim: Dusza...“, a teraz patrzyły głębokim bez miary wyrzutem: „Czemuś mię wiódł — a nie dowiódł...“ i martwiały, zastygały... A w szeroko rozwartych zastygał na wieki głęboki bez miary wyrzut: „Czemuś mię wiódł...“

I jęk gwałtownego bólu i żalu wydarł się z łona białego przewodnika i odwróciwszy się ze zgrozą począł bezwiednie, mimowoli pełznąć ku szczytowi, jak pies zraniony śmierletnie do swego legowiska.

Dopełznął do szczytu i jął dalej czołgać się ku świątyni — dla niego zamkniętej: bo oto chciał być szczęśliwem Dawcą Szczęścia, a winien był być — jak Chrystus...

I rozpacz niema, bezdenna, ostatnia wielkiej Duszy dała moc mięśniom jego — ostatnią i dźwignąwszy się wstąpił na

stopnie schodów, wyprężył się i runął z łoskotem na bruk przed świątynią, a cicha Noc przyszła przykryć czarną płachtą plamy białego mózgu i czerwonej krwi...

J. R.

Na strunach duszy.

Zajaśniał dzień — podniosły główki kwiaty,
Słoneczko mgły rozprasza z ciemnych pól;
Poleciał motyl w niezmierzone światy,
I poniósł w dal świeżość i wonie ziół.

Na strunach duszy twej — zagram pieśń śliczną,
Taką srebrzystą — jak białej róży łzy;
Polecę myślą znów — w dal bezgraniczną,
I rozprószone zbiorę sine mgły.

Czy słyszysz ją!? -- melodya cicha płynie...
Z duszy twej strun... z uroczych cudnych snów,
I tylko nie wiem... czy bez echa zginie —
Tej pieśni mej dzwięki bez westchnień i słów. —

Lwów 17. Lutego 1899.

M. B. P.



Konkurs na nowelę ogłasza redakcya „Teki".

Udział w konkursie może brać zarówno młodzież szkół średnich i wyższych (akademicka), jak osoby nienależące już do kół młodzieży.

Co do wyboru tematu nie ma żadnych ograniczeń.

Sąd konkursowy składa się z redakcyi Teki, zarządu kółka literackiego Czytelni Akademickiej i osób wybitniejszych do sądu przez redakcyę zaproszonych.

Sąd konkursowy w tym składzie będzie orzekał, które z nadesłanych prac nadają się do druku i do odczytania na kółku literackiem. Komu ma być przyznana nagroda w kwocie 30 koron, o tem rozstrzygną czytelnicy Teki, którzy otrzymają we właściwem czasie potrzebne formularze.

Termin nadsyłania prac do 15 czerwca r. 1899.

Każda praca ma być zaopatrzona godłem; nazwisko autora winno być podane w zamkniętej kopercie.

Prace będą drukowane w miarę ich nadsyłania.

Rękopisy należy odsyłać pod adresem redakcyi „Teki".

Autorowie prac drukowanych, a nie nagrodzonych, o ile efektują na honoraryum, zechcą porozumieć się z redakcyą.

Kilka uwag z powodu I. krajowego turnieju szermierzy we Lwowie, 13—16 kwietnia 1899 r.

A więc mieliśmy i my wreszcie nasz turniej szermierzy. Wielka sala klubu pocztowego rozbrzmiewała przez trzy dni dźwiękiem szabel i dzwonieniem floretów, słowami komendy i okrzykami „touché" lub „toccato". I nasz, pod względem życia sportowego tak zaspany Lwów ożywił się tak dalece, że przy końcowej akademii wspaniale udekorowana sala „Sokoła" zapełniła się po brzegi doborową publicznością, która z pełnem zainteresowaniem śledziła każdy ruch szabli lub floretu i nagradzała rzęsistymi oklaskami dzielnych szermierzy.

Nie będę pisał szczegółowego sprawozdania z przebiegu turnieju, gdyż o tem już w swoim czasie doniosły prawie wszystkie dzienniki. Ograniczę się do kilku uwag i spostrzeżeń, jakie mi się podczas turnieju nasunęły.

Przedewszystkiem razi tu więc brak zainteresowania w kraju. Na trzydziestu biorących udział w turnieju, mieliśmy, prócz kilku

wojskowych, tylko dwóch uczestników z poza Lwowa. A może to brak materyału!?.. Smutne to przypuszczenie, ale bardzo prawdopodobne.

Tem bardziej pocieszającem jest, że przynajmniej Lwów się dobrze zaprezentował. Ba, stanęło nawet do apelu trzech młodych szermierzy — gimnazyalistów, z których zwłaszcza pp. Żaba i Grzywak stanowią doskonały materyał na przyszłość. Ostatniemu należało się przy klasyfikacyi stanowczo inne, aniżeli przedostatnie miejsce, czego też dowiódł, biorąc drugą nagrodę w poule - assaut drugiej kategoryi.

W ogóle system ten klasyfikacyi okazał się zupełnie nieodpowiednim, gdyż nie daje sędziom możności gruntownego i sprawiedliwego ocenienia szermierza. Powstały zatem różne dziwolągi klasyfikacyjne, jak -- lecz nomina sunt odiosa, nie psujmy więc harmonii.

W każdym razie trzebaby na przyszłość temu zaradzić, choćby w ten sposób, żeby każdy szermierz już przy klasyfikacyi bił się z kilkoma przeciwnikami, i w ten sposób miał sposobność do okazania całej swej umiejętności.

Dla fachowców był turniej nader ciekawym szczególnie z tego względu, że współzawodniczyły w nim trzy szkoły: najstarsza francuska p. Artura Marie, nowsza tz. „Hoch-terz“ p. Bernolaka, wreszcie nowowłoska, reprezentowana wyłącznie przez wojskowych, z których kilku było uczniów p. Santellego.

Już przy assaut klasyfikacyjnem wystąpiły dobitnie charakterystyczne cechy, odznaczające każdą z tych szkół, zaś przy pouleassaut daną była możność ocenienia ich praktyczności.

Tak więc „Marzyści“ jak i uczniowie p. Bernolaka robią z przegubu, posiłkując się ruchami z łokcia w miarę potrzeby. Zarzucić jednak wypada uczniom p. Marie'go pewną nerwowość w robocie i wynikający stąd brak precyzyi, który się objawia w częstych passes i w licznych coups-fourrés. Korzystnie wyróżniają się tu pp. Grzywak i Żaba, z których pierwszy zwłaszcza ma doskonałe riposty.

Uczniowie p. Bernolaka odznaczają się piękną postawą i wielką precyzyą ruchów. Ta szkoła szczyci się takimi szermierzami jak pp. Sobolewski i Zubrzycki, nie mówiąc już o championie naszych amatorów, p Moszyńskim.

Nowem dla nas zjawiskiem na planche'y była szkoła włoska, która w krótkim czasie zdobyła sobie zwolenników wszędzie, gdzie tylko uprawiają szermierkę. Bije z niej ognisty temperament Włocha, objawiający się w gwałtownym ataku, połączonym zazwyczaj

z okrzykiem i błyskawicznem cofaniem się. Wszystkie ruchy szabli idą z łokcia, przegub sztywny.

Szabla włoska opatrzona wielkim koszem, kryjącym całą rękę, jest nadzwyczaj lekką, brzeszczot zaś z powodu zastosowania sztychu zupełnie prosty i opatrzony gałką na końcu. Najlepszymi przedstawicielami tej bardzo efektownej szkoły byli pp. por. Kulhanek z Krakowa i por. Morawetz z Tarnowa.

Co się tyczy praktyczności tych szkół, to wystarczy rzut oka na wynik poule-assaut pierwszej kategoryi, by się zoryentować. Na dwunastu uczestników siedm pierwszych miejsc zajęło w różnym porządku czterech uczniów p. Bernolaka i trzech przedstawicieli włoskiej szkoły, dalsze zaś uczniowie p. Marie'go.

Na tem kończę tych kilka uwag.

Miejmy nadzieję, że ten turniej obudzi w całym kraju zamiłowanie do tego pięknego i szlachetnego sportu.

„*En garde*".

Kronika.

„Biedne te nasze dzieci" temi słowy zakończył „Kuryer poznański" pierwszą swą relacyę o śmierci Wawrzyna Grzelczaka z Kokoszek. Ośmioletnie to chłopię pobite zostało przez nauczyciela Zaeske tak, że w parę godzin wyzionęło ducha wśród strasznych męczarni. Mord ten spełniony został w Pudliszkach, majątku hakatysty Kennemanna; mordercą jest kulturträger nagradzany przez rząd za szerzenie niemczyzny, a ofiarą, polskie, chłopskie dziecię. Gdy wieść o tym nowym gwałcie doszła do Galicyi, artyści teatru krakowskiego zamówili nabożeństwo żałobne na 27. kwietnia. We Lwowie polska młodzież urządza również nabożeństwo w dniu 28. b. m. pod hasłem „Czcząc pamięć tej nowej ofiary uczcijmy te setki i tysiące prześladowanych i katowanych przez wrogów naszych w każdym dniu i w każdej godzinie stuletniej niewoli".

* * *

Sprawa relegowanych studentów warszawskich jest zbyt wielką klęską, aby przebrzmieć mogła szybko i bez śladu. Prasa wciąż rozstrząsa motywy strejku, a świeżego zarzewia do dyskusyi dorzuciły aresztowania redaktorów „Kuryera Warszawskiego" i „Codziennego" i rewizye w domach p. Malinowskiego i najznakomitszego, żyjącego historyka dziejów Polski Tadeusza Korzona. Rewizya była ścisła, „odbijano blaty u stołów, łóżek, rozbijano rondle

w kuchni“; działo się to wszystko na rozkaz przysłany wprost z Petersburga z poduszczenia Apuchtina i Wannowskiego a z pominięciem miejscowych władz warszawskich. Motywem do tych nowych gwałtów miało być posądzenie Malinowskiego, Korzona, Libickiego i Nowodworskiego o udział w wydaniu odezwy, w której komitet stronnictwa narodowo - demokratycznego potępił myśl chwilowego sojuszu z Moskalami i potępił tych kolegów, co łącząc się ze strejkiem akademików rosyjskich naruszyli solidarność narodową.

Tak te ostatnie aresztowania i nocne rewizye jak ci, których osadzono w cytadeli i zesłano w głąb Rosyi, (chociaż myśl strejku zwalczali), sąd Apuchtina i Wannowskiego, wściekłość Moskali, — wszystko to dowodzi najlepiej kogo i czego boją się najwięcej nasi wrogowie. Nie jakieś nieudałe próby walki z despotyzmem w zgodzie z tymi, których dziś pcha do protestów młoda krew, a jutro szowinizm i łaska carska do gnębienia dawnych kolegów Polaków, nie jakieś nieuzasadnione w praktyce marzenia łączności ludów w imię walki z uciskiem — ale z żelazną konsekwencyą przeprowadzana zasada odrębności narodowej doprowadzi nas do niepodległości.

Toteż polscy socyaliści popychając młodzież warszawską do strejku, źle przysłużyli się Ojczyźnie i źle dziś bronią popełnionego błędu.

Tak w „Młodości“ autor artykułu „młodzież a polityka“ mówi: „w Warszawie również wśród istotnej inteligencyi nie usłyszałby nikt zdania, że młodzież postąpiła źle, bo zesolidaryzowała się z akcyą kolegów Rosyan“. Autor nazywa nawet podobne zdanie zgoła dziecinnem“, ponieważ „istota sprawy nie zależy od tego z kim się ją robi, ale co się robi“.

Namiętność stronnicza zaślepiła korespondenta „Młodości“ tak, że nie chciał słuchać innych zdań o strejku, jak socyalistów, a przecież ci, którzy dziś w pocie i znoju pracują nad rozbudzeniem świadomości narodowej wśród szerokich warstw ludności Królestwa, którzy mają prawo w tych sprawach przemawiać, ci postąpienie strejkujących ochrzcili nazwą „małej ugody“. Oni sądzą także wedle tego „co się robi“. Ale „co się robiło“ przez strejk? Złamało się zasadę solidarności narodowej, zawarło się kompromis z Moskalami. Były inne cele strejku, dalsze, jasne i piękne — ale tamte pozostały mrzonką i ziścić się nie mogły. Zostało natomiast złe, został precedens, że wolno łączyć się z Moskalami, że wolno zawierać przymierze z wrogami dla jakichś dalekich, spodziewanych korzyści.

I dziwi i oburza ta wprost zuchwałość z jaką socyaliści piętnują w swych odezwach do kolegów strejkujących „nikczemną zdradę w Waszych własnych szeregach“. (Młodość zeszyt V.) Kto był odstępcą? Czy tych 700, co nie strejkowali, czy tych 67 co podnieśli sztandar współdziałania z Uniwersytetami rosyjskiemi.

Co powiedzieć o odezwach lwowskich socyalistów, którzy w dość mizerny sposób własne uchwały chcą przemycić pod nazwą uchwał ogółu młodzieży akademickiej!

Wzajemne poszanowanie zasad jest warunkiem współdziałania stronnictw postępowych. Reformy społeczne w Rosyi łączą się najściślej i zawisłe są od spełnienia myśli przewodnich naszej polityki narodowej. Uznajmy pracę narodowych socyalistów o ile jest istotną, prawdziwą i szczerą, ale nie pozwólmy pomiatać programem polskim w sprawach narodowych.

* * *

Kraj (nr. 15) oświadcza się stanowczo przeciw poruszeniu sprawy polskiej za pomocą memorjału, wystosowanego przez wychodźców polskich z Ameryki na kongres pokojowy w Hadze. (Wiadomość o tym projekcie podaliśmy w nr. 4. Teki). Zaznacza, że na konferencyi wykluczonem jest z góry poruszanie spraw, nie stojących w bezpośrednim związku z wyraźnie określonymi celami konferencyi i przepowiada, że memorjał taki będzie przez prawdziwych dyplomatów wrzucony wprost ... do kosza.

„Po pismach polskich niejednokrotnie wyrażano obawy, że wychodźcy nasi za Oceanem szybko wynaradawiać się będą. Na dowód, że się nie wynaradawiają chcą nam dziś oni zrobić psotę. Kraj spokojnie i wytrwale pracuje, na nikogo się nie oglądając, niczyich sympatyj nie żebrząc, więc oni z za Oceanu upokorzą go, wyciągając zań rękę i żałośnie zawodząc przed zamkniętemi drzwiami. Zabronić im tego nikt nie może: są amerykańskimi obywatelami i pisać mogą na wsze strony co i do kogo im się podoba. Im kto dosadniejszy i szumniejszy do „memorjału“ dorzuci frazes, tem gorętsze oklaski zbierze w Chicago, a gdyby ktoś ośmielił się wyrwać z uwagą, że rzecz bezcelowa nie jest nigdy mądra i z przestrogą „źle się bawicie!“ — okrzyczy się go gromko za zdrajcę i kwita!

Z za morza jeszcze łatwiej odgrażać się, niż z za pieca“.

Słowom tym nikt znający stanowisko polityczne „Kraju“ dziwić się chybą nie będzie.

* * *

W „Wolnem Polskiem Słowie“ wychodzącem w Paryżu znajdujemy korespondencyę z Krakowa p t. „Kilka uwag o naszej młodzieży szkolnej“.

„Nasza młodzież.. oh, nasza młodzież! Widzę ją... widzę te nikłe chude, wybladłe istoty, jak idą ulicą po kilku, po dwóch, po jednemu... Rządowe mundurki opinają ich mizerny zastoj fizyczny i zbliżają do siebie wszystkich jednakiem, szarem podobieństwem. Każdy z wielkiem mozołem podtrzymuje lewą ręką stos książek pod pachą, prawą puścił ruchem wahadłowym koło siebie, nogi wyciąga sztywnie z bojaźnią jakąś; w całej postaci skulonej widać jedną tylko — obawę... I suną te automaty bezkrwiste z oczyma w czerwonych okówkach utkwionemi przed siebie. Widać, że myśl ich stępiała, samoistność ruchów nawet im nieznana. Manekiny ze składu dziecinnych ubrań, wprawione w ruch automatyczny byłyby w porównaniu jeszcze ideałem młodzieży.

To nasza młodzież — młodzież gimnazyalna. Widzę znów grupy inne... Twarze starsze, z rzadka porosłe włosem, tak samo wybladłe, tylko więcej starczego mające wyrazu. Zapadłe piersi pokoszlawione i chore postacie. Już ich nie opina obcisły mundur, ruchy w nich się rozwiązały nieco, obudziła się nawet gestykulacya. Oczy jędnak pozostały bez ognia i światełek myśli. Mózg pod czaszką każdego musi mieć dużo odcisków u niektórych może pokryty doznaku niepomierną ilością cyfr i dat, zdarzeń i wypadków historycznych. W postaciach przygnębienie widać i wczesne znużenie życiem. . Przed oczyma każdego kreśli się: zajęcie. Zajęcie to tem, to owem, ot aby żyć, aby żyć coraz lepiej!“

Rzeczywiście wprost przerażająco wygląda ten opis młodzieży, ale gdy go porównamy z rzeczywistością to przecież musimy zapytać czy Szan. autor trochę, troszeczkę nie przesadził.

* * *

W dniach 24 i 25 kwietnia odbyła się w auli gimn. im. Franciszka Józefa konferencya dyrektorów i kierowników z całej Galicyi w obecności członków Rady szkolnej i inspektorów. Konferencyę zagaił wiceprezydent Bobrzyński dłuższą przemową w której wskazał na najważniejsze przeszkody, tamujące jeszcze intenzywniejszy rozwój szkół, mianowicie przeciążenie uczniów nadmierną pracą z jednej, a brak odpowiednich nauczycieli z drugiej strony. Z referatów wniesiono: dyr. Próchnicki: „O nadzorze szkolnym uczniów w miastach większych“, dyr. Majchrowicz: „O nadzorze szkolnym w miastach mniejszych“, radca L. German: „O stosunku gospodarzy klasowych do dyrektorów“, inspektor p. Lewi-

cki „O przeciążeniu uczniów pracą domową“, dyr. Niementowski: „O szkolnych kasach oszczędności uczniów“, dyr. Cegliński: „O wieku maksymalnym uczniów szkół średnich“ oraz p Kulczyński i Danysz: „O kształceniu kandydatów nauczycielskich“.

* * *

Bolesław Prus w ostatniej „Kronice tygodniowej“ (Kuryer codzienny nr. 104) wystąpił gorąco w obronie pracy i zabiegów około polepszenia materyalnych warunków bytu, w obec jednostronnych i fałszywych zapatrywań ludzi nie widzących nic więcej jak sztukę i chcących w tym kierunku całą siłą narodu skierować.

Znakomite są uwagi tego autora o Galicyi gdzie jeszcze ciągle praca na gruncie realnym jest pogardzana i lekceważona, nauka zaledwie się rozwija, a zato szereg młodych, zdolnych ludzi rzuca się w kierunku „młodej sztuki“ odwracając się od niskich potrzeb życiowych, od nędzy ludu, od ciemnoty ogółu, zasklepiejąc się w ciasnem kółku „prawdziwych artystów“.

„Tam“ — są słowa Prusa — „literatura była w rzeczy samej“ „przeważnie szlachecką“ i nie zajmowała się „sprawami materyalnemi“. Nie chłop, nie rzemieślnik, nie kupiec, nie bank albo kasa oszczędności byli jej bohaterami, ale — artyści, poeci, sztuka...

Dzięki czemu, bardzo ubogi ten kraj zdobył się na odnowienie Sukiennic, postawił wcale pokaźną seryę pomników i, obecnie myśli o odnowieniu Zamku... Ale nie zajmował się ani położeniem ekonomicznem ludu, ani operacyami bankowemi, ponieważ rzeczy te nie miały związku ze sztuką.

Dziś społeczeństwo galicyjskie zaczyna się zdumiewać...

„Zaznaczyliśmy już — mówi „Czas“ — że wychodźtwo naszego ludu w roku bieżącym przybiera niezwykłe rozmiary“. (Podobno, niewiem czy prawda, że w roku bieżącym już wyniosło się z Galicyi ze 40 tysięcy ludzi!..).

„Niezdrowy ten objaw zasługuje na pilną uwagę władz i społeczeństwa, a zbadanie przyczyn wychodźtwa, roztoczenie opieki nad wychodźcami i uregulowanie wychodźtwa — należą do najważniejszych punktów programu reform społecznych“..

No — i proszę, jak to wcześnie wykryto w Galicyi pewne „niezdrowe objawy!“... A jednak i wcześniej, znacznie wcześniej, można było dostrzedz, że „materyalne stosunki“ tego kraju znajdują się na bardzo złej drodze.

Kilkanaście lat temu zaczęto w Galicyi zbierać składkę na pomnik Mickiewicza, akurat w roku, kiedy — jeżeli się nie mylę, ludność wiejską zabijał tyfus głodowy. W roku zeszłym odsłonięto pomnik Mickiewicza w Krakowie, akurat w tym tygodniu, kiedy, niedaleko od Krakowa, w niektórych wsiach lud żywił się korą i lebiodą i chorował z głodu na szkorbut.

Nareszcie, w roku bieżacym, kiedy z Galicyi ucieka 40.000 ludzi przed nędzą, a we Lwowie tłumy wyrobników dobijają się do ratusza, błagając o pracę, — w tym samym kraju, mieście i roku na zbudowanie nowego teatru przeznacza się: 1,181.574 guldenów i 45 centów!

Czy wobec tych faktów, nie możnaby powtórzyć za prof. Lutosławskim, że: inteligencya galicyjska, jeżeli nie z urodzenia, to z przekonania jest szlachecką i nie zajmuje się materyalnemi potrzebami. Są to prawdziwi artyści, którzy „sobie śpiewają, nie komu".

Dziś dopiero mówi się tam, o zbadaniu „przyczyn wychodźtwa". A jednak „przyczyny" leżą jak na dłoni i od niepamiętnych czasów mogły być zbadanemi, gdyby tamtejsza inteligencya dbała nietylko o sztukę, ale i o interesy materyalne, — gdyby śpiewała nietylko „sobie samej", ale i swoim uboższym braciom.

Ponieważ „Czas" nie miał jeszcze sposobności poznać przyczyn wychodźtwa, sądzę więc, że będzie mi wdzięczny za parę wyjaśnień, które zebrałem bądź w galicyjskiej, bądź w austryackiej statystyce.

W Austryi 62 proc. ludności zajmuje się rolnictwem, a 21 proc. przemysłem; zaś w Galicyi 84 proc. rolnictwem, a tylko 6 proc. przemysłem. A ponieważ pracownicy rolni zarabiają po 96 guld., a przemysłowi po 242 guld. rocznie, więc, dzięki temu, każda setka pracowników galicyjskich, w porównaniu z austryackimi, zarabia o 15.000 guld. mniej rocznie. Innemi słowy, z powodu marnie rozwiniętego przemysłu, robotnik galicyjski zarabia o 15 guld. rocznie mniej, aniżeli austryacki. Są to jeszcze cyfry bardzo korzystne; w rzeczywistości bowiem musi być znacznie gorzej.

To stanowi jedną z przyczyn wychodźtwa.

Dalej. Na rodzinę chłopską, złożoną prawie z 6 osób, przypada 5,2 hektarów (10 morgów) gruntu, z czego chłop dorosły, dobrze uprawiając ziemię, może rocznie wydobyć 75 guld., czyli około 20 centów dziennie. Wobec tej cyfry, nie podobna dziwić się, że chłop galicyjski nawet u nas szuka zarobku...

I to jest druga przyczyna wychodźtwa.

Jest tam jednakże i coś trzeciego.

Od kilkudziesięciu lat w Galicyi wszystko wzrasta Wzrasta tedy ludność o 1 proc. rocznie, liczba lekarzy o 6 proc. rocznie, kółek rolniczych o 17 proc., członków towarzystw zaliczkowych i kredytowych o 25 proc., liczba słuchaczów uniwersytetów o 4 proc. rocznie, liczba uczniów szkół ludowych o 5 proc. rocznie, liczba czytelń o 12 proc. rocznie.

Słowem postępy byłyby bardzo piękne, gdyby, obok nich, nie rozwijały się jeszcze inne zjawiska. Oto ilość długów obciążających ziemię wzrastała o 12 proc. rocznie a liczba sprzedawanych posiadłości ziemskich, wzrastała o 133 proc. rocznie!...

A ponieważ w Austryi liczba sprzedawanych posiadłości także wzrasta, ale tylko o 22 proc. rocznie, więc — szybkość zmian własności ziemskiej w Galicyi, dokonywa się sześćdziesiąt razy prędzej aniżeli w Austryi. Innemi słowy: jeżeli Austrya, do wyzucia się z własności, idzie jak żółw, to Galicya, w tym samym kierunku, pędzi jak zając.

Taki, mniej więcej, jest obraz ekonomicznych galicyjskich stosunków: robotnik najemny zarabia mało, chłop na swoim kawałku ziemi ma 20 centów dziennie na utrzymanie, własność ziemska przepływa z rąk do rąk jak woda. I czy podobna dziwić się, że w tych warunkach, mniej wytrzymali chorują na szkorbut albo tyfus głodowy, a wytrzymalsi uciekają z kraju?

Więc to chyba przeklęta ziemia?

Bynajmniej.

Ale jestto kraj, w którym inteligencya „śpiewa tylko sobie samej“ i gdzie „rozwój ekonomiczny nie ceni się wyżej, aniżeli ideały nauki i sztuki“.

W Galicyi nie brak poetów, ba nawet modernistów i dekadentów; nie brak malarzy ani budowniczych. Brakuje tylko odpowiednio przygotowanych rolników, przemysłowców i finansistów, a nadewszystko przez szereg lat brakowało ludzi, którzy — wierzyliby w to, że pracować umysłem i sercem trzeba nietylko dla oświeconych, uszlachconych i zamożnych, ale także dla rozmaitego rodzaju ciemnych biedaków“.



Odpowiedzialny redaktor: akad. Edward Neumann. Z drukarni W. A Szyjkowskiego